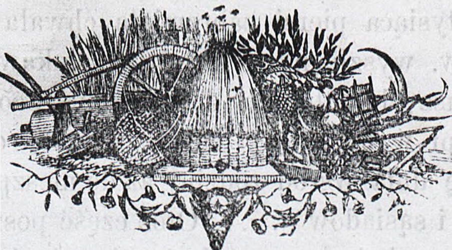
Tom XII. Nr. 17.

11. czerwca 1865.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak u nas być powinno?

Wyjechawszy z Krakowa (jakby ów ptak ze swego gniazda) zajechałem najprzód do górnego Szlązka, który teraz jest pod Prusakiem (ale dawniej do Polski należał), i zaraz już za komorą Modrzejowską miałem się czemu przypatrzyć, bo porządek dużo jest większy jak u nas, a lud oświecony i obyczajny, przytem dobrze się ma i nie brakuje mu na pieniądzach. Zajechałem do wsi Piekary w niedzielę; więc poszedłem do kościoła; aż wkrotce sypie się lud z domostw zdążając na mszą świętą. Zanim się zaczęło nabożeństwo, stanąłem na cmentarzu przypatrując się ludowi, na który aż miło spojrzyć, tak czysto i chędogo ubrany. Jedni chodzą w długich kapotach granatowych, a drudzy kuso w kaftanach, a ubożsi w kitlach płóciennych jak u nas, ale kapoty wychędożone i wytrzepane z prochu, a kitle wyprane i białe. Buty na pasach wytłuszczone i wyczernione, a w ręce książka do modlitwy. Kobiety też bardzo schludnie ubrane, bo mają różnobarwne spodnicy w pasy, kaftan i na głowie czysta chusta, biała lub czerwona, raz z tyłu wiązana albo czepce. Na nogach pończochy i trzewiki. Wkrótce ludek

pobożny napełnił kościół, a mężczyzni ustawili się po jednej stronie, a niewiasty po drugiej. Przyklękli, a kościelny przyśpiewał pieśń pobożną; dopiero lud tę pieśń wziął na głosy, i na raz jeden z tysiąca piersi zabrzmiała chwała Pańska.

Po Mszy św. wyszliśmy z kościoła; ciekawy byłem, czyli tak jak u nas ruszy lud tłumnie do karczmy (i co złowił dobrego na kazaniu, utopi w gorzałce), czy też wróci do domu, aby przepędzić resztę dnia wśród rodziny aż do nieszporów, a potem wśród przyjaciół i sąsiadów?.... Otóż część poszła do karczmy, a to byli sami wyrobnicy przy górnictwie, inni zaś wrócili do domów swoich, lub po nabożeństwie rozmawiali sobie z cicha na cmentarzu. Zbliżyłem się do tych ostatnich, a pochwaliwszy Pana Boga, zapytałem, kto taki piękny i duży kościół w tym wieku mógł zbudować?.... Czy król, czy rząd albo jacy wielcy panowie?... Gospodarze pokłoniwszy mi się uprzejmie, rzekli: „Nie stawiali go możni tylko pobożni“. „Mój Panie (rzecze jeden stary gospodarz), jak pan widzisz ten kościół wspaniały, coby się nie wstydził stać na Jasnej Górze w Częstochowej, to z samych srebrnych groszy zbudowany. Mamy tu proboszcza co się zwie xiądz Fietzek, to jedyna dusza u Pana Boga, a cały świat objedzie a drugiego nie znajdzie. Otóż ów ubogi xiądz umyślił sobie wystawić kościół na większą chwałę Bożą i Matki najświętszej, a rozdał pomiędzy wiernych takie kartki drukowane, za któremi wezwał do składek. Wszyscy się z niego śmiali, bo nikt nie wierzył, aby się z tego suma uzbierała. Ale są dusze na świecie bogobojne, które nie szczędzą na chwałę pańską, przeto jak się ruszyli ludzie do składek i jak zaczął pieniądz płynąć, to powiadam jegomości, że jakby ten deszcz co pada na rolę. Jeden dał grosz drugi dwa, ten dał twardego a ów kilka twardych i dość, że nigdy na fabrykę nie zabrakło i nasz kościół niebawem stanął.“

— Co ja uważam (rzekłem do gospodarzy), to że po Mszy świętej mało ludzi poszło do karczmy, jeno ci, co chodzą w drewnianych sandałach.

— To górnicy (rzecze inny gospodarz), ale i oni wielkiej krzywdy gorzałce nie zrobią, bo wielu z nich ślubowało na trzeźwość. Poszli raczej po kukiełki a może który wypije

szklankę piwa, jeżeli będzie miał za co.... Ale zkądże jest Wielmożny jegomość, iż się tak wypytuje i tak ciekawy?

— Z pod Krakowa jestem, i jadę w świat, aby go przepatrzyć, a co dobrego w nim znajdę, uważać i nauczyć się.

— U nas tu nie ma co widzieć, jeno kościół i xiędza Fietzka proboszcza i fundatora. A jest też tu i drukarnia pana Heneczki, co xiążki i obrazki drukuje, to i to jest ciekawe.

— Jakto (zapytam), na wsi drukarnia?

— A jakże (odpowie jeden z gospodarzy uśmiechając się). Czyliż to wieś niegodna mieć drukarni? Mieliśmy tam daleko po xiążki jechać, a może jeszcze natrafić na jakie herezye albo bezeryje, to wolimy mieć na miejscu co nam potrzeba. Przecież niedawno pan Heneczek wydrukował „Matkę świętych polskich“, tośmy wszystko rozkupili. A nasz młynarz łożył na druk Spiewnika kościelnego i dał na to tysiąc twardych ze swego własnego majątku, to się ta xiążka rozchodzi na cały świat. Jakżeby się człowiek obszedł bez czytania pobożnego? Kiedyś mówił nam na kazaniu xiądz wikary, „że jak gębie trzeba dać jeść, aby ciało żyło, tak duszę trzeba dobrą nauką żywić, aby nie zamarła“. I to prawda, bo gdybyś nie jadł tobyś umarł, a gdybyś xiążki pobożnej nie przeczytał, toby też dusza zmarniała. A u was to nie czytają, iż się tak Jegomość dziwicie?...

— Czytają (odrzekłem), ale nie wszyscy. Szkoły niedawno są założone, a wreszcie nasi włościanie jeszcze nie uczuli tej potrzeby, więc i dzieci do szkół nieradzi posyłają, a starzy się dawniej nie nauczyli, więc im teraz nie chce się na starość uczyć. W górach to więcej jest czytających między ludem, ale ponad Wisłą to dużo mniej!

— No proszę?! Oto cuda, żeby zaś nie umieć czytać i pomodlić się nawet z xiążki?!... U nas w niedzielę to po wszystkich domach czytają, boby się nawet cniło w święto, żeby nie czytać. Tu nietylko jest u nas drukarnia pana Heneczka, bardzo uczciwego i pobożnego człowieka, ale niedaleko w Mikołajowie jest druga, w Opolu trzecia, w Raciborzu też jest, a wszystkie nie nastarczą drukować. Od kilku lat to się ciągle te drukarnie fundują, a żadna nie zmarniała, bo piękne xiążki drukują, jakoto: Żywot Pana Jezusa, potem Żywot Matki Najświętszej; oraz Ży-

woty świętych; Lament Ojców świętych; Dusza, czyli synogarlica na puszczy, i inne rozmaitości. Oprócz tego xiądz Fietzek sprowadza xiążki z Krakowa, to jest różne pielgrzymki i historye święte i te nam daje do czytania.

Pożegnawszy się, wstąpiłem do szynkownej izby, chcąc zobaczyć jak się tam lud zachowuje. Otóż siedziało przy dzbanie piwa kilku gospodarzy, rozmawiających po cichu; a że się na mnie spoglądali, więc się domyśliłem, iż o mnie była mowa. Zbliżyłem się do nich i pochwaliwszy pana Boga, rzekłem zkąd jestem i zapytałem, czy się znaczą urodzaje?... Jeden z gospodarzy odpowiedział mi: „Iż w ogóle nieźle się znaczy, ale u jednych są lepsze a u drugich gorsze, bo urodzaj ile zależy od łaski i błogosławieństwa Bożego, tyle też zależy i od pracy ludzkiej. Kto dobrze w polu zrobił, to ma lepsze, a kto źle, to ma gorsze“. Rzekłem na to: iż byłbym bardzo ciekawym, poznać bliżej ich gospodarstwo, na co mi jeden poważny włościanin odpowiedział: „Niema tu u nas co widzieć, bo ziemię mamy chudą, ale jeśli łaska, to niech jegomość do mego domostwa wstąpi, co tu jest przy cegielni, to go po mojem polu oprowadzę choćby nawet i teraz.

Korzystając z życzliwości gospodarza, poszedłem z nim do jego domu, a zaraz mi się spodobał porządek w budynkach gospodarskich. Wchodziło się na ogrodzone podwórko, opatrzone wrotami niskiemi z łat mocno związanemi. Podwórko było całe brukowane płaskiemi kamieniami i umiecione. Przed domem był przeciągnięty łańcuch przy którym pies duży biegał aby domu bronić, a nie módz przecież po drodze za podróżnym ujadać, lub się po wsi tułać! Narobiło psisko ogromnego hałasu, gdy mnie obcego ujrzało, ale na rozkaz gospodarza zaraz się schował do budy i na łapach się położył, wercząc i skumląc chciałby się był ze swoim panem witać, a znowu nie był rad obcemu gościowi. Zaprosił mnie gospodarz do izby. Aż miło wspomnieć, jakie tam było ochędostwo i wzorowa czystość. Podłoga z desek umyta, stół długi i w około niego ławki, mniejszy stół na boku i przy nim dwa stołki. Łóżko szerokie porządnie usłane i białem prześcieradłem pokryte. Komoda polityrowana, a na niej krucyfix. Na ścianach pełno obrazów świętych i zegar z wagami.

Przy piecu skrzynka, a porządny cyganek przy drzwiach. Z tej izby szło się do obszernej dość komory, w której też stało łóżko dla córki gospodarstwa, a za przepierzeniem stały faski z mąką i kaszą, na drążku zaś wisiały sperki, kiełbasy i wędliny. Przy drugiej ścianie stała duża skrzynia, a na niej kilka bochenków chleba świeżo upieczonego. Z tej komory był wchód do .piwniczki umieszczonej i zagłębionej w podmurowaniu domu, tam zastałem nieco jarzyn, a na pułkach stały porządne misy z mlekiem, denkami ponakrywane. Pomyślałem sobie: Mój Boże! u nas daleko szukać takiego porządku, i aż mi się żal na sercu zrobiło. Cóżto trudnego, aby i u nas tak być kiedyś miało? Przecieżto więcej nie kosztuje być porządnym jak być niechlujem! Trochę pracy i dobrej woli wystarczy, aby takaż sama czystość i ochędostwo było i u nas zaprowadzone! Gospodyni pytała mi się, czylibym się nie napił mléka, co chętnie przyjąłem. Myślałem, że mi przyniesie tak jak u nas w czarnym i okopconym garnku! Ale gdzież tam?!.. przyniosła w czystym dzbanku na talerzu i ze szklanką świeżo wypłukaną. Mleko było wyborne, czyste, bez much i prochów i niezbierane. Potem zaprowadził mnie gospodarz do stajni. Przy ścianie zewnętrznej były siągi z drobno połupanego drzewa, nieco jeszcze świeżego, a po drugiej stronie był już ubrany siąg suchego drzewa jak pieprz. Pytałem się gospodarza czyli ma las do swego gruntu?... „Nie, mój jegomość (rzecze on), my kupujemy drzewo w zimie, rąbiemy go w takie drobne polanka na wiosnę, a gdy wyschnie przez lato, więc już na zimę mamy dobry opał; bo o połowę mniej wychodzi drzewa suchego jak mokrego. Zawsze więc mamy drzewo z roku na rok a zanim ten siąg zaczęty skończymy, to też i tamte świeże przeschną, a nadejdzie też i zima". Mądry lud pomyślałem sobie!... Weszliśmy do stajenki małej ale dostatecznej na parę koni. Nie była ona delowana, ale podłoga była równo ubita z gliny i drobnego gruzu! lecz co mnie zadziwiło, to kupki ziemi którą w stajni zastałem. Pytałem się na co tá ziemia?... Gospodarz zaś biorąc na łopatę tej ziemi rozrzucał ją pod zadnie nogi koniom, mówiąc: „To nawóz mój kochany jegomość, bo jak bydlę moczy albo pruszy, to ta ziemia tem przesiąknie i z niej robi się doskonały nawóz, a szkoda iżby się co straciło,

bo kto chce mieć urodzaje, to powinien trzymać się przysłowia ojców: „uprawiaj i sprawiaj a głodu się nie obawiaj“. „A gdzież wy nawóz składacie (zapytałem)?...“ „Tu zaraz za stajnią, trochę opodal od domu, aby nie było zaduchu i aby się robactwo nie gnieździło. Jeżeli jegomość i tego ciekawi, to później pójdziemy a teraz pokażę konie: „To kobyła, co ma już szesnaście lat a to po niej źróbek, który ma ósmy rok, a matka jeszcze tęższa od niego!“

— Jakto (zapytam), ta kobyła ma już szesnaście lat? Toście ją musieli niezmiernie szanować, i chybaście nią nie robili?..

— Gdzież tam nie robiłem! (odpowie gospodarz). Mało koni tyle się napracowało jak ta kobyła która już przez lat dwanaście świętą ziemią na wszystkie boki przewróciła, ale nigdy jej nie używałem nad siły i dobrze karmiłem a opatrywałem. Codzień była o swoim czasie ochędożona, napojona i napasiona, a gdy wracała z roboty, to ją zawsze słomianym wiechciem z potu i kurzu otarłem. A ja mam zaś takie doświadczenie, że jak się konia chędoży, to jakby mu garniec owsa przyczynił. Ona jeszcze, gdy Bóg pozwoli, ze cztery lata pochodzi, a mało jej co ubędzie.

— Dlaczegóż (zapytałem) brakuje w stajni kilku deszczek w powale?

— Jakto jegomość i na to uważa (rzeknie z uśmiechem gospodarz), oto dla tego, aby nie było zaduchu, bo stajnia jest niska i mało przewiewna, a konie z gorąca i zaduchu dychawiczeją, więc się na lato te deski wyjmują, a na zimę się je napowrót zsuwa.

Wszystko co widziałem tak mi się zdawało być słuszne i sprawiedliwe, iż z prawdziwą przyjemnością wchodziłem w każde szczegóły, a oglądając się spojrzałem na wiszącą na ścianie uprząż. Byłyto proste chomonta centkami nabijane, wyczernione i tłuszczem wysmarowane, z podpasami rzemiennemi zamiast postronków. Zapytałem się więc, czy lepsze są pasy od postronków.

— Oczywiście (odpowiedział gospodarz), bo konia nie obrabiają. Powiem zaś jegomości, iż wygodna uprząż połowę siły daje koniowi, i zdrowie jego zachowuje. Gdy chomonto nie

jest dostosowane do szyi i bioder konia, to go psuje, kaleczy, i połowę siły ujmuje. Przytem gdy jest rzemień suchy, to na słońcu robi się tak twardym, iż kłęb lub grzbiet koniowi obrobi. Nie trzeba żałować na dobrą uprząż, bo dłużej trwa, a koń więcej zrobi a mniej się zmęczy, ani też sperki na rzemień nie trzeba oszczędzać, bo na słocie rzemień taki nie gnije. Teraz pójdziemy na drugą stronę do krów, bo umyślnie jest ścianą przegrodzona, aby parobki nie robili jakich figlów z dziewczętami.

Poszliśmy więc naokoło, i osobnemi drzwiami weszliśmy do drugiej stajenki, gdzie stały trzy krowy i jałówka. Z powodu gorąca nie wypędzano bydła w pole jak około wieczora, bo mówił gospodarz, że w gorąco mało się bydlę pożywi a bardzo zmęczy i wypiecze, a często nawet schnie od pragnienia, więc się stera. Powiedział więc, iż jak człowiek szuka w upał cienia, tak i bydlę nie potrzebuje tyle jadła ile chłodu. Opowiadał mi sposób żywienia krów swoich a zdziwiłem się, iż tak dużo im daje pokarmu. Pytałem go czyli mu się to opłaci? na co mi odrzekł:

— Proszę jegomości, przecież się krowy trzymają dla mleka i nawozu, a mleko i nawóz z czego innego nie będzie jeno z paszy. Kto chce więc mieć dużo mleka i dużo nawozu, musi dawać dużo paszy.

A choćby w potrzebie i na mięso przyszło bydlę sprzedać, to dwa razy tyle da rzeźnik za krowę tłustą jakby dał za chudą. Ta pasza się więc opłaci i na mleko i na nawóz i na mięso. Że zaś krowa nas żywi, więc i my ją żywić powinniśmy, bo gdy ona głodna, to i my głodni i braknie nam okrasy. Te trzy krowy nas i czeladź wyżywią i jeszcze się masła sprzedaje za tyle, iż się paszy ma za co dokupić. Ja daję codzień na te trzy krowy ćwierć buraków albo ziemniaków z sieczką, i po pięć funtów siana i do tego różne zgoniny, oskrobiny i pomyje, dlatego też mamy od nich pięć do sześciu garncy mleka. Kto oszukuje bydlę, to siebie sam oszukuje, bo swoje dobro tera.

Poszliśmy więc obejrzeć kupę nawozu przygotowanego pod jesienne siewy, a zdziwiłem się, iż na tak małem gospodarstwie tyle nawozu przygotować można było. Byłto dołek mający trzy sążnie w kwadrat, na jeden tylko sztych to jest na stopę zgłę-

biony, i urządzony między rozłożystemi wierzbami, które go ocieniały. Tam porządnie kładziono warstwę mierzwy, a na tem drugą warstwę ziemi w stajni podścielanej i różnych śmieci z domu i z ogrodu uzbieranych. Na tem znowu była bydlęca mierzwa, i znowu jakieś namuliska, i tak dalej. Słowem wyglądała ta kupa jak placek przekładany. Gospodarz powiadał mi, że skrapia tę kupę często albo gnojówką albo wodą, a czasem deszcz spadający z gałęzi drzew ją użyźnia, któreto drzewa od zbytnich upałów nawóz ochraniają, i dla tego jak mówił: nie wysycha. Takiego nawozu daje on na morgę magdeburską a zatem na pół naszej polskiej morgi 25 fur parokonnych a czasem i więcej, a drobno i równo rozściela, gdyż jak powiadał „od mądrego rozrzucenia nawozu wiele zależy“. Z nawozem powraca na każde pole co czwarty rok, a czasem to mu się uda i zarwać co na trzeci, i tym sposobem, przy błogosławieństwie Boskiem ma rok w rok dobre urodzaje, chociaż gatunek jego ziemi jest lichy i za dawnych gospodarzy ani dziesiątej części nie wydał obecnych korzyści. Prosiłem go, aby mnie wyprowadził na swoje pola, na co chętnie przystał.

Co zaś ciekawego widziałem tam na polu, będzie na drugi raz.

(Podróż po szerokim świecie.) *Walery Wielogłowski.*

Cieśla.

Na cmentarzu przy drodze
Budowano kaplicę;
Zmówić pacierz zachodzę,
Przejrzeć grobów tablice.
O południu — skwar piecze;
Wytchnij nieco człowiecze!
Robotnikom i cieśli
Z wioski strawę przynieśli:
Więc ucichły siekiery,
Czeladź na trawce siadła,
A spędzając znój szczery,
Zabrała się do jadła.
Stary cieśla co żywo
Zrównał postać pochyłą,
Dobył lulki, krzesiwo,
Pyknął dymkiem, aż miło!
Zadumał się — uśmiecha,
Poweselał na twarzy
I wyraźnie, choć z cicha,
Sam do siebie tak gwarzy:
„Kowal puka w kuzience,
Pali odzież i ręce,
Sierp naostrzy lub radło,
Zrobi topor, lemiesze,
Stuknie puknie w kowadło,
I zarobek wykrzesze;
A w gospodzie go czeka
Pogadanka, napitek,
Bo z takiego człowieka
Dobry w wiosce pożytek.

Cieśla z niczem powraca,
Od siekiery i pługa,
Choć ciężka jego praca,
Choć i większa zasługa.

„Młynarz puścił zastawki,
W kosze nasypał zboże,
I już dosyć zabawki,
Odpoczywać już może.
A jego trzodka syta,
Żona żyje w rozkoszy,
Dadzą mu miarkę żyta,
Dadzą mu kilka groszy:
Od dobrego człowieka,
I podchmielc go czeka!
Cieśla z niczém powraca,
Od siekiery i struga,
Choć jego cięższa praca,
Choć i większa zasługa!

„Skrzypak piśnie na kwincie,
Zagra taniec lub drugi,
Już on pełen zasługi,
Już podarki mu czyńcie!
Ma pieszczoty dziewczęce,
Uścisk od chłopca zucha,
I grosz sypie się w ręce,
I szklanica nie sucha;
I co milsze roskosze,
Niż szklanica i grosze,
To, że serca człowiecze
Jakby dłonią zagarta!
Prawda... prawda, nie przeczę,
I skrzypica cóś warta;
Lecz cieśli licha praca,
Nikt nie ściska, nie mruga,
Choć jego ciężka praca,
Choć i większa zasługa.

„Ot i dzieci i młodzi
I starcowie pochyli,
Wszystko i w każdéj chwili
Przez me ręce przechodzi.
Czy się rodzą dzieciska,
Ot i kłopot dla głowy!
Pracuj, cieślo wioskowy,
Bo potrzebna kołyska;
Ja nie proszę zapłaty,
Ja pracuję z rozkoszą,
Xiądz przyjeżdża do chaty,
Mnie na chrzciny nie proszą;
Dla chłopaka ladaca
Cieśla zabawkę struga...
Oj cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

„Chłopak rośnie w młodziana,
Już mu chce się zalotów,
„Oj danaż moja, dana!"
Ruszyć w swadźbę już gotów;
Czyż nie cieśla wyciosa
Nowy wozik chłopcowi?
Jak okują kolasa,
To bywajcie już zdrowi!
Już go dziewczę nie minie,
Na tym wózku zuch wielki!
Czy on miły dziewczynie?
Czy wóz mojéj ciesielki?
Toż pytanie nie lada!
A gdy celu dolata,
Cieślę, starego dziada
Nie zaprosi na swata.
Pieniędzmi się wypłaca,
Więc już zniewaga druga...
Oj cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

„Kiedy lato przeminie
Dni dożynek nadbiegą,
Stołu trzeba drużynie
Dębowego, równego.
Hejże z heblem i piłą
Spiesz się cieślo do dzieła!
Ja stół ciosam aż miło,
Wdzięcznie bracia przyjęła;
Lecz gdy jadło przynieśli,
Kiedy napitek płynie,
Jakoś w bratniéj drużynie
Zapomnieli o cieśli,
A on ich mozół skraca,
Wprawia sosznik do pługa...
O lichaż moja praca!
Ale dobra zasługa!

„Młodzian przeżył wiek długi,
Starzał i umarł wreszcie.
Spieszcie do cieśli, spieszcie,
Nie odmówi posługi.
On kolebkę dlań zrobił,
Wielce sztucznéj roboty,
On mu cacka sposobił,
On go stroił w zaloty;

Dziś nagrodzą niebiosa,
Niech mu trumnę wyciosa.
Robię trumnę — jak caca,
Szeroka, kształtna, długa...
Oj cichaż moja praca!
Ale dobra zasługa!

„Te mnogie ulów kłody,
Co stoją wedle płota,
I te wioskowe wrota
Co strzegą pól od szkody,
Krzyże na mogił rzędzie,
Wszystko mój trud bez mała;
A teraz, Bogu chwała,
Ot i kapliczka będzie!
Niechaj wioska wychwala,
Niech nagradza kowala,
Niech młynarza opłaca,
Do mnie Anioł-Stróż mruga:
Że cicha moja praca,
Ale dobra zasługa!

„Jeszcze jedna myśl dumna
Dodaje mi ochoty:
Że będzie moja trumna
Nie partackiej roboty!
Bom wyuczył nie lada
Kilku z wioskowej młodzi,
Jak się z sznurem obchodzi,
Jak się toporem włada:
Więc starca w każdym domu
Będzie zastąpić komu!
Gdy mi życie Bóg skraca,
Żałość będzie niedługa;
Poczciwa była praca,
Dobra będzie zasługa!"

Zosia z Bogusławic.

Historya prawdziwa.

Przejeżdżałem niedawno temu przez Bogusławice, a com tam ładnego widział i słyszał, tem się też i z wami podzielić muszę na większą chwałę Boga i na pożytek ludzi.

Kiedym tak około południa przyjechał do Bogusławic, a minąłem już jedną, drugą i trzecią zagrodę, zdziwiło mię to mocno, że ani żywej duszy około zagród ujrzeć nie mogłem. Chaty i obejścia wszystkie pozamykane, jakby w jakie święto uroczyste, kiedy wszyscy wyjdą do kościoła na służbę Bożą. Wyjąłem kalendarzyk z torbeczki i patrzę, czy też niema dziś jakiego święta, lecz gdzie tam, dzień dzisiejszy powszedni, dzień pracy. Tak pomału przyjechałem do kościółka, co stał na pagórku w samym środku wioski i ujrzałem tam pomiędzy staremi lipami mnóstwo ludu, a wszyscy świątecznie poubierani. Ciekawy co też to za uroczystość obchodzą dziś w Bogusławicach, kazałem woźnicy memu, by zajechał do oberzy co stoi aż za wsią i tam na mnie zaczekał, a sam zlazłem z bryczki, wyprostowałem i otrzepałem suknie na sobie, boć nie należy się nieprzyzwoicie stanąć w przybytku Boga. Gdym się zbliżył do kościółka, już

było po nabożeństwie, a lud wychodził poważnie i zstępywał z górki ku wiosce. Ustąpiłem na bok i przypatrywałem się całemu temu pochodowi, boć śmiesznem by było spieszyć się teraz do kościółka, kiedy już świece pogasili. Na przedzie szły trzy dziewczęta a najstarsza z nich w środku, a wszystkie ubrane biało z wieńcami na głowie jakby od ślubu, a były to trzy rodzone siostry, jakem się później dowiedział. Za niemi szły dzieci całej wsi świątecznie ubrane a radość im patrzyła z oczu. Za temi postępywały matki i ojcowie wesoło gwarząc między sobą, a byli tam nietylko z Bogusławic ale i z okolicznych wiosek.

Gdy mię już wszyscy minęli, a witali jak dawnego znajomego, postąpiłem ku kościółku, a kościelny, stary dziadzina, już dzwonił u drzwi kluczami.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedział kościelny.

— A co to za uroczystość obchodziliście dzisiaj u siebie? zapytałem.

— Toć to pan muszą być z daleka, kiedy nic o tem nie wiedzą, boć głośno to w całej okolicy, odpowiedział kościelny.

— Nie bardzo z daleka, nawet wasz sąsiad, ale tu długo nie byłem w tych stronach, a choć już za późno przybyłem toć mi może opowiecie, jeźli łaska wasza.

— Oj nie łaska to mój panie, to święta powinność, rozgłaszać wszystkim ludziom łaskę i miłosierdzie Boga, które nad nami ukazał.

— O to bardzo was proszę, opowiedźcie mi wszystko jeźli wam czas starczy, to i zaraz, boć i moją to powinnością rozgłaszać dalej łaskę Boga, na większą chwałę jego.

— Wielki Bóg i wielka łaska jego, odpowiedział mi kościelny i wprowadził mię do kościółka i wskazał na obraz nowy co wisiał na ścianie, a na nim Św. Józef z dziecięciem Jezus, a obok niżej stąpa dziewica w bieli nad przepaścią, a Jezus malutki prowadzi ją za rękę by snać nogą nie ugodziła o kamień ostry.

— Ładny obraz, powiedziałem kiedym się już dobrze mu przypatrzył, ale jakaż jest historja jego?

— Opowiem wam to panie z ochotą, ale musicie wejść ze

mną do izby mojej, a w co chata bogata w to rada i dowiecie się o cudownem zdarzeniu i co ten obraz przedstawia.

Zamknął kościółek i weszliśmy razem do szkółki tuż obok kościółka, a tam w małej osobnej izdebce mieszkał kościelny.

Kiedyśmy weszli do izdebki, rzekł kościelny:

— Szkoły dziś nie mają dzieci, darowano im, by lepiej sobie zapamiętały dzień ten radośny, a tem lepiej, bo nikt nam w opowiadaniu przeszkadzać nie będzie.

Podał mi stołek i prosił bym usiadł, a sam usiadłszy na tapczanie tak zaczął swe opowiadanie.

— Mieszka tu we wsi naszej od lat dawnych szanowany od wszystkich Józef Grzela ze swoją żoną Józefową, ludzie bardzo uczciwi i pobożni a Bóg ich pobłogosławił majątkiem i zdrowiem a najbardziej dziećmi dobremi. Te trzy dziewczęta co to szły dziś z wieńcami na głowie na przedzie to jego córki a najstarsza z nich zwie się Zosia, anioł dziewczyna. Nie szczędził Józef Grzela pieniędzy, aby Zosię, swoje dziecko dobre, czegoś dobrego nauczyć. Oddał ją do klasztoru panieńskiego niedaleko ot ztąd, by się tam czegoś pożytecznego nauczyła, boć wtedy u nas o szkole ani słychu nie było. Tam to przez kilka lat nauczyła się Zosia wiele dobrego. I na piśmie zna się jak jaki uczony, i religję umie, że się aż dusza raduje, kiedy wam zacznie o Bogu i św. pańskich rozprawiać, a jak wam zacznie opowiadać o królach polskich, i o sławie dawnej Polaków, to się jej nasłuchać nie można. Nie wzbijała ją w dumę i hardość ta jej nauka, boć serce w niej złote. Otóż to kiedy wróciła z klasztoru a ujrzała, że drugie dzieci niczego nie znają i nic nie umieją, zabolało ją to serce. Wzięła Boga na pomoc i nuż dalej zakładać szkółkę w chacie ojca swego dla dzieci. Nim ta szkoła tu stanęła, była już u nas szkoła w chacie Józefa. Tam to schodziła się dziatwa prawie wszystka a Zosia nuż ich uczyć i czytania i pisania i religji i szycia, a tak gorliwie a tak ochoczo że i staremu miło było się temu przysłuchiwać, to też i starzy wieczorami schodzili się do Józefa zagrody a zasiadłszy przyżby przed chatą przysłuchiwali się jak im wiele pięknych rzeczy przeczytywała i opowiadała Zosia. Gdy wieczór był pogodny, zabierała po nauce wszystkie dziatki

i nuż z nimi w pielgrzymkę pod figurę św. Józefa z małym Jezuskiem, co to stoi z kamienia wykuty na wzgórku przy drodze, kędyście panie jechali, a ustroiwszy pana Jezusa w kwiateczki, co z dziatwą po drodze uzbierały, uklękną wszyscy i mówią litanję do pana Jezusa i pieśń o Józefie zaśpiewają, a gdy się dzwónek wieczorny odezwał, to Anioł Pański tak miłym głosem płynie po rosie, że się aż anieli w niebie radują. Nie dziw więc że ją wszyscy we wsi kochają i za jej dobre serce Boga o pomyślność dla niej błagają.

Tak mijały lata, a Zosia w pracy nie ustawała i wiele już dobrego zrobiła, kiedy tu, tak przed rokiem przybył do wsi naszej jakiś wysłużony wojskowy a był z profesji kowalem. Wybudował mu dziedzic tam za wsią kuźnię i darował mu chatę. Odtąd miały Bogusławice kowala, a majster z niego był nielada, chłop sprytny i roboty się nie lenił. Dobrze mu się też działo i gospodarzom dobrze z nim było. Jedną tylko miał wadę że się rzadko w kościółku pokazywał a czasem nawet i dnia świętego nie uszanował, a lubiał żyć wesoło i rozrzutnie, to też choć mu grosz płynął jak woda, niczego się za rok nie dorobił. Nazywał ci się on Antoni Bretnal. Otóż to temu Bretnalowi wpadła w oko Zosia. Począł więc i jej nadskakiwać i staremu Józefowi schlebiać, to to mu zrobił, to owo, to wóz naładził, to konie podkuł, a nigdy grosza od niego nie przyjął, zawsze to zostawiał na późniejsze czasy. Nie wzbraniali mu też Józefowie przystępu do swojej chaty, bo był chłopak układny i grzeczny, a Zofia czem raz mu się lepiej podobała, choć bardzo od niego stroniła i nie mógł jej żadnym sposobem ku sobie nakłonić. Nie zrażał się tem Bretnal, ale nadrabiał z Józefami jak mógł, by sobie ich całkiem dla siebie pozyskać, aż oto niedawno temu tak rzekł do nich:

— Podobała mi się Zosia wasza i pragnę ją mieć za żonę, jeżli wola wasza. Chleba mi niebrak jak widzicie, a da Bóg zdrowia toć i jej ze mną nie będzie licha. A potrzeba mi gospodyni, boć to samemu nie utrzymać się w chacie i grosz zapracowany marnie idzie. Dajcie mi Zosię, bo bez niej życie mi nie miłe.

Nie namyślali się długo Józefowie, a że prostym nic nie bywa

krzywe, to też uwierzyli słowom Bretnala, sprosili sąsiadów i zrobili umowę, a nie baczyli na to, czy też Zosia na to przystanie, bo myśleli, dobre dziecko pójdzie za wolą rodziców, którzy tylko jej dobra pragną. Lecz inaczej się stało. Kiedy się już sąsiedzi rozeszli i Bretnal poszedł z nimi, rozszlochała się Zosia, rzuciła się do nóg rodzicom i nuż ich błagać i prosić.

— Jeżeli wam szczęście moje na sercu, odmieńcie wolę waszą. Rozum mi każe słuchać was, ale serca zmusić nie mogę, i jakaś trwoga mię bierze i mówi, że z nim nie będę miała doli. Jeżeli mi chleba swego żałujecie i jestem wam na zawadzie, pozwólcie mi, a pójdę do klasztoru i ludziom służyć i Boga za wami prosić będę. A jeżeli już taka wola wasza, rozrządzajcie ręką, lecz serce do mnie należy, a jeżeli go kochać nie będę, Bóg mi przebaczy, co widzi utrapienie serca mego.

Rozpłakali się Józefowie nad Zosią, a że to serce rodziców całego szczęścia dziecka swego pragnie, postanowili nie dać Zosię Bretnalowi, i jak postanowili tak zrobili.

Odgrażał ci się Bretnal, że aż strach słuchać było, i robotę porzucił a wódką się zalewał i mówił, że gdy mu Zosię nie dadzą, to ją i siebie zabije. Nie wiele na to zważali Józefowie bo myśleli, ot wódka z niego gada. Mijały dnie i tygodnie a Jozefowie strzegli Zosię jak oka w głowie. Pomału ucichały groźby Bretnala, ale stał się z niego wielki pijak i niezdara. Aż tu jednej nocy obudził wieś całą okropny hałas w chacie Józefów. Bretnal nabił sobie w kuźni strzelbę siekańcami z żelaza i zakradł się w nocy do chaty Józefów kiedy wszyscy już spali. Znał dobrze całe obejście Józefów a jako kowal umiał i zamki sprytnie otwierać. Wszedł po cichu do osobnej izdebki, gdzie spała Zosia między siostrami swemi na jednem łóżku, przytknął lufę od strzelby do piersi Zosi, a nim obudzona Zosia krzyknąć zdołała, wypalił do niej. Czem prędzej nabił raz drugi i wypalił w siebie, ale się nie trafił, bo mu ręce drżały, tylko się osmolił i odzienie się na nim zatliło. Nim się Józefowie dostali do izby swych dziatek, gdyż drzwi im ze dworu zatarasował, już Bretnal gonił polami ku swej kuźni ze strzelbą na ramieniu, a ludzie co się na ten hałas i huk obudzili widzieli go, jak na wietrze odzienie na nim płomieniem

buchnęło, a Bretnal poparzony wskoczył do stawu. Zabobonni myśleli że to jaki pokutujący latawiec i z trwogą się żegnali, a odważniejsi nim dobiegli do stawu, z którego wyskoczył już Bretnal, bo i wodą całego stawu złego sumienia nie ugasił, usłyszeli w kuźni Bretnala okropny huk. Nim zdążyli do kuźni, Bretnal już nie żył, a mózg jego roztrzaskany wisiał po ścianach.

Bóg czuwał nad Zosią i jej siostrami, i nim się ludzie zbiegli do chaty Józefów, zastali Zosię zdrową jak klęczała z siostrami przed Ukrzyżowanym i dziękowała za cudowne ocalenie. Ani kropli krwi nie widać na odzieży i pościeli, tylko podziurawione ściany siekańcami i śmierdzący dym prochu zapełnił całą izdebkę. Strach był wielki Józefów, ale radość jeszcze większa kiedy oglądali zdrowe swe dziatki i dziękowali Bogu.

Otóż to na pamiątkę i podziękę Bogu za ów cud wielki kazali Józefowie odmalować ten obraz, coście go Panie w kościele widzieli, a dziś właśnie było jego poświęcenie.

Gdy tak skończył stary kościelny swoje opowiadanie, zdjął z pułki obrus z grubego płótna, przykrył stół i położył na nim bochenek chleba i garnuszek masła i rzekł:

— Jeżeli łaska wasza, to nie gardźcie, bo dziś u mnie nie ma nic więcej, gdyż i ja zaproszony na ucztę do Józefów, a jeżeli pan szanuje w chłopku człeka uczciwego, to proszę ze mną, a Józefowie radzi będą gościowi takiemu, a poznacie panie ładną Zosię o której wam tyle dobrego naopowiadałem, a warto to choćby i wielkiemu uczonemu pomówić z nią słów kilka.

Przyjąłem chętnie zaprosiny, a przetrąciwszy kawałek chleba z masłem podziękowałem staremu kościelnemu za wszystko i poszliśmy razem ku chacie Józefów.

Jeszcześmy byli spory kawał od chaty Józefów, kiedy to stary Józef prowadząc Zosię za rękę, wyszedł przeciw nam i prostym zwyczajem poprosił, bym nie mijał jego chaty. Trudno się wymówić i nie wstąpić tam, gdzie się serce ciągnie a czego dusza pragnie. Weszliśmy do chaty. Tam za długim stołem zastawionym jadłem siedziała sama starszyzna, a na pierwszem miejscu x. proboszcz. Wszyscy powstali i zapraszali serdecznie, a Józef prowadził mię za rękę, aż do proboszcza, gdzie Zosia już uprzątnęła i zrobiła dla mnie miejsce obok niego. Zabawiłem

się z tymi uczciwymi ludźmi jak z nikim w świecie, a kiedym tylko spojrzał na Zosię to mi serce rosło jak na drożdżach. A x. proboszcz poczciwy staruszek żartował wesoło z wszystkimi, jak z najlepszymi przyjaciołmi, a Zosię nachwalić się nie mógł. Pomyślałem, po co tu chwalby, kiedy to gdzie spojrzysz to widzisz jak to nauka przy dobrem sercu uzacnia i uszlachetnia człowieka. Prawdziwa rozkosz rozmawiać z takiem dziewczęciem jak Zosia, taka to mądra, a prosta i szczera, że aż miło. Gdy się już trochę ośmieliła, nuż mię się wypytywać o różne nowiny, a co jej powiesz to jej nie cudze, a gdy nakoniec otwarła szafkę, co tam za skarby, a wszystko książki dobre i pożyteczne, żem się wydziwić i nachwalić nie mógł, boć to jeszcze u nas rzadko coś podobnego natrafisz w chacie wieśniaka. Zapomniałem całkiem o odjeździe, aż tu kiedy x. proboszcz powstawszy pobłogosławił gospodarstwo i dziatki a Zosię w główkę pocałował i zabrał się do wyjścia, pożegnałem i ja Józefów i wszystkich obecnych a za serdeczną gościnę ofiarowałem Zosi kilka książeczek, którem wiózł ze sobą w torbeczce i obiecałem więcej przywieść jeszcze ładniejszych. Radości Zosi nie było końca, a zabawiwszy się z tymi poczciwymi ludźmi pożegnałem ich serdecznie i pojechałem swoją drogą.

Szczęsny z Żółkwi.

RÓŻNOŚCI.

Wyświęcenie biskupa. Tej niedzieli mamy tu we Lwowie wielką uroczystość, która się nie często przydarza. Oto wyświęcać się tu będzie pewien xiądz kanonik obrządku ruskiego na biskupa. Kanonik ten nazywa się Sembratowicz, a biskupem go zrobił Ojciec św. i to takim, który ma mieszkać w samym Rzymie i tam przy Ojcu św. mieć swój kościół i dyecezyę. W niedzielę więc dnia 11. b. m. odbędzie się uroczyste wyświęcenie xiędza Sembratowicza na biskupa. Wyświęcać go będzie arcybiskup ruski xiądz Litwinowicz wraz z arcybiskupem polskim x. Wierzchlejskim i arcybiskupem ormiańskim xiędzem Szymonowiczem. Zjadą zaś także na tę uroczystość obaj biskupi z Przemyśla z kanonikami i mnóstwo księży z bliska i z daleka.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.